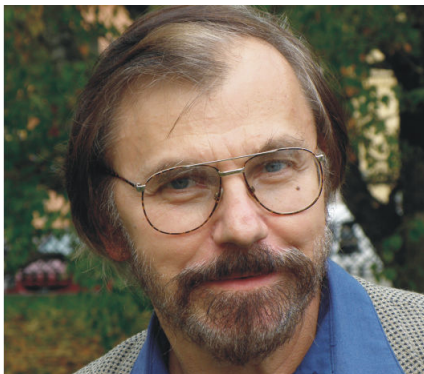


Listy do Pani A. (34)



Piękna choroba

Droga Pani!

W kilka osób wybraliśmy się odwiedzić Krzysztofa Gąsiorowskiego. Trudno jest z nim rozmawiać, bo otwór w krtań oraz uszkodzone struny głosowe uniemożliwiają mu jakąkolwiek konwersację. Ale pisze na kartkach, wydobywa z siebie coś na kształt szeptu, który – słuchając uważnie – można zrozumieć. Krzysztof bardzo się ucieszył, bo to jakiś kontakt ze światem, który praktycznie ma poważnie ograniczony. My też ucieszyliśmy się jego wyglądem – trochę przytył, twarz mu pojaśniała, mówił, że czuje się bardzo dobrze.

Po tej wizycie Aldona Borowicz, Marek Wawrzekiewicz i ja pojechaliśmy do Domu Literatury na piwo do kawiarni literackiej. Marek – jak zwykle – sypał anegdotami, potem wspominaliśmy dawne czasy – jak przystało na matuzaleatów. Choć mentalnie mamy wszyscy po dwadzieścia lat... Bardzo potrzebne są takie spotkania, bo dają one poczucie wspólnoty, uczestnictwa w życiu towarzysko-literackim, pozwalają odreagować codzienność, która z dnia na dzień staje trudniejsza.

A później spotkanie ze Zdzisławem Łączkowskim. I znowu podróż w przeszłość. Łączkowski, Zbigniew Dolecki, Józef Szczawiński, Anka Kowalska, Antoni Podsiad – w końcu lat sześćdziesiątych, czyli już za mojej pamięci, stanowili czołówkę poetów związanych z Paxem i jego prasą. Kiedy w połowie 1966 roku pojawiłem się u Doleckiego w „Kierunkach”, a potem wkrótce zadebiutowałem na łamach tego tygodnika, to zaraz też poznałem osobieście Zdzisława Łączkowskiego, który prowadził dział kultury w „Słowie Powszechnym”. Redakcja była na trzecim piętrze gmachu przy Mokotowskiej 43, a „Kierunki” mieściły się na czwartym.

Kiedy więc mówiono o „Dziennikach” Łączkowskiego, a potem sam autor przywoływał zdarzenia i postaci z tamtych czasów, wszystko to przed moimi oczami stanęło jak żywe. Ja – młody, nieśmiały kandydat na poetę, redakcje podówczas tętniące życiem, ludzie z których spora część już nie żyje – co dotkliwie przypominało mi o mojej metryce. Przecież niejedna z tych osób była wtedy młodsza niż ja dzisiaj. Łącznikiem dla mnie z tamtymi czasami jest właśnie Zdzisław, a także Zygmunt Lichniak, z którym utrzymuję kon-

takt, choć nieraz – pomimo najszczerzych chęci – nie mam kiedy do niego zadzwonić. Muszę to zaraz zrobić – tak sobie obiecuję.

Wspominał Łączkowski swoje zmagania wydawnicze towarzyszące „Gadowi” oraz innym książkom. Wtedy też nie było tak łatwo poetom, zwłaszcza tym, którzy byli „zbyt” oryginalni. I znowu zmartwychwstał klimat tamtych czasów, pojawiali się ludzie towarzyszący Zdzisiowi w jego twórczej drodze. I często byli to ludzie, których znałem i ja. Ogarniał mnie nastrój nostalgiczny.

Na tym spotkaniu był Zbyszek Irzyk, którego znam od swoich najdawniejszych literackich czasów. Widujemy się czasem, gadamy, a Zbyszek ma świetne poczucie humoru i absurdu. Rozumiemy się w pół słowa. Spotkałem też Gienka Kabatca i jego uroczą małżonkę.

Powodem tego literackiego wieczoru, który prowadził Janusz Termer, był zbiór poematów Zdzisia pt. „Ku wzgórzom planet”.

Prócz innych walorów tej poezji, filozoficznych, poznawczych, estetycznych, najważniejszym chyba jest to, iż autor dopracował się własnego języka. Jego wiersze są rozpoznawalne wśród wielu innych. Jest to język z jednej strony współczesny, z drugiej o pewnych cechach narracji biblijnej, nieco hieratyczny, „prorocki”. Ale też i tematyka metafizyczna, mocno zakorzeniona w kulturze śródziemnomorskiej, poruszająca problemy religijne i moralne współczesnego świata – uzasadnia i potwierdza nośność i trafność tego języka.

I nagle się pojawiły nastroje, bardziej listopadowe. Ale przecież nie mamy wpływu na naszą egzystencję. Oto którejś niedzieli rano dostałem esemesa od Krysi Koneckiej z wiadomością o śmierci Anny Kajtochowej. Bardzo to przykre. Znałem dobrze panią Annę, lubiłem z nią rozmawiać. Pamiętam, że kiedyś byłem akurat w złym stanie psychicznym spowodowanym jakimiś przejściowymi problemami ze zdrowiem. Akurat spotkałem panią Annę, która przyjechała na Warszawską Jesień Poezji. Wystarczyło kilka pierwszych słów (rozmowa była długa), by moje napięcie spłynęło jak ładunek po piorunochronie. Nigdy tego nie zapomnę. Anna Kajtochowa bardzo mnie lubiła (zresztą z wzajemnością), zawsze interesowała się moją twórczością (zresztą ja jej poezją też), i tak – bez reszty – lubiliśmy się od lat.

Co się u licha dzieje, że tak na wiosnę o funeraliach? Odwiedzaliśmy z Anią, jej mamą i Joasią grób ojca Ani na Powązkach. Nastrój miałem melancholijny, bo to prawie bezpośrednio po wiadomości o Annie Kajtochowej. I to dojmujące poczucie przemijania... Tymczasem Joasia zapala znicz i zakupuje zapalniczki w ziemi. Chcąc, jak to dziecko, usłyszący parafrazę przysłowia, na zwracaną uwagę, by raczej schowała zapalniczkę do pudełka, odparowała: „do wesela się rozłoży”, a ja natychmiast dodałem: „jak powiedział nekrofil”. I tu znowu ma Pani tego prawdziwego Jurkowskiego...

A życie, nawet literackie, toczy się dalej. Zadzwonił do mnie Juliusz Erazm Bolek z pytaniem, czy wezmę udział w konferencji w Centrum Prasowym poświęconej jego tomikowi p.t. „Abracadabra”. Zgodziłem się. Mówił Bolek o sobie, Rafał Czachorowski o elektro-

nicznej wersji tej książki, którą wydaje w swoim wydawnictwie, ja o jego wierszach. Utwory Bolka znakomicie czytała Krystyna Czubówna. Całość prowadził bardzo sympatyczny Dariusz Dewille. A potem wino, kuluarowe rozmowy, piękne panie, atmosfera na wskroś literacka. Czyżby Pani tam również była, czy mi się tylko zdawało obsesyjnie?

Jednak funeralna nas nie opuszczają. Tym razem narodowe. Nie wiem, jak Pani to odbiera, ale te wszystkie rocznice katyńsko-smoleńskie już mi bokiem wychodzą. Nie oglądałem transmisji z szop rocznicowo-beatyfikacyjnych. Tego nawet pies by nie wytrzymał, choć – jak wiadomo – z natury jest miłośnikiem kości...

Ale nadeszły jaja! Mam na myśli „jajeczko” na Słupeckiej w filii Ośrodka Kultury Ochoty. Jest to miejsce, w którym prowadzę warsztaty literackie, a gospodynią jest pani Janeczka Pytka. I nie tylko od święta mamy tam rodzinną atmosferę, a z uczestnikami warsztatów jesteśmy przyjaciółmi. Pani Janeczka wraz ze swoją pomocnicą panią Sabiną jak dobre duchy opiekują się nami i tworzą niepowtarzalny klimat tego miejsca.

Poznałem też nową panią dyrektor wydziału Kultury na Ochocie. Piękna, urocza kobieta. A z Poznania znowu przyjechała Kalina Ziola aż z Poznania. Po oficjalnym jajeczku siedzieliśmy jeszcze długo rozmawiając i popijając...

Znów się zaczął Światowy Dzień Poezji. Jak zwykle, było przyjemnie, miło, poetycko. Trochę zdrewniałem z tyłu, bo niemal bez przerwy siedziałem na twardym krzeselku od jedenastej, do dziesiątej wieczorem. A potem w kawiarni Literackiej czytaliśmy przy winie wiersze. Poznałem poetów polskich działających w Londynie, wymieniliśmy się tomikami i e-mailami. Bardzo sympatyczni ludzie, i dwie uroczyste poetki. To znaczy poetki też ludzie, żeby sobie Pani źle o mnie nie pomyślała! Atmosfera była na wskroś artystyczna, przypominająca przedwojenne klimaty opisywane przez Tadeusza Wittlina w „Ostatniej cyganerii”. Pani obecność również odczuwałem niemal obsesyjnie. Chyba jednak muszę się leczyć. Najlepiej u Pani siostry. Dobry pomysł, prawda?

Światowy Dzień Poezji zakończył się koncertem artystek azerbejdzańskich. Bardzo to było oryginalne, a wykonawczynie także. Byłem z Kaliną i kilkoma osobami z warsztatów. A potem jeszcze rozmowy, z Panią w tle. Zamęczałem Kalinę nieprzyzwoicie. Oczywiście, były to opowieści nie dające powodów do identyfikacji Pani osoby. Tylko ja jeden miałem Pani twarz przed oczami. Tak, to istne wariactwo. Ale czy właściwie powinienem się z tej pięknej choroby wykurować?

Pozostawiam Panią z tym moim pytaniem, i pozdrawiam jak najserdeczniej.

STEFAN JURKOWSKI

a